

Ludzie w moim otoczeniu są pragmatyczni, niektórzy wręcz wyrachowani, w głowach by się im nie pomieściło dajmy na to spontaniczne i bezcelowe kuienie jakiegoś bzdetu na bazarze, przywiezienie z wakacji byle ozdoby, zbędnej i tandetnej, wydanie choćby eurocenta na pocieszny chłam na zasadzie "ot, tak, bo mi się spodobało". Szkoci ze staryznych dowcipów, cyniczni centusie-lansiarze, wyznawcy kultu(ry) swag...

Kurwa - gładzę jak stara baba. Sama nie jestem lepsza, a zdarza mi się moralizatorstwo... w myślach, oczywiście.

Wykonuję lumpenpracę na bylestanowisku, płacą mi grosze, tyciuchne moniaki, a ja, jak ta durna cieszę się, że nie mam za wielu obowiązków. Degrengolada, upadek zasad, totalny zanik ambicji. Zwinięcie się w kulkę, stanie umysłowym pierwotniakiem, ameba bezintelektualną, żywym bo żywym dzwonidłem, świnią, która po śmierci mózgowej potrafi tylko dudnić, barabanić w cymbały i przewracać oczami.

Zgubiłam się na rozstajach dróg, straciłam orientację. Niewiele potrzebuję. Zbyt mało, by być uznana za normalną. Rekluza żyjąca w wewnętrznej celi, eremitka spoglądająca na mmiasto ze szczytu góry, na której wybudowała lichą szalasiurę, abnegatka bez planów, marzeń, wiodąca nieskomplikowane życie małej dziewczynki, lalki kręcącej się w kółko na starej pozytywce. Dookoła, dookoła, taniec bez sensu. Ding, ding, brzdęęę! - tworzę przypadkową muzykę. Nie przejawiam jakichś szczególnych talentów poza jednym: kryganctwem, niepakowaniem się w kłopoty, unikaniem wszelkiej odpowiedzialności, wycofywania się z życia, tyłem na czworaka.

Agnieszka pełzakowata, której najwygodniej w niewidzialnej skorupie. Aga, która wolałaby tortury, niż wzięcie durnego telewizora na raty; o podpisaniu umowy kredytowej, czy - o zgrozo - założeniu własnej działalności nie mówiąc!

Agniecha - mentalna siostra "Człowieka w futerale" Czechowa. Nieotwieralna, zamknięta w samej sobie, bez pasji, cienia idei, o niesprecyzowanych i raczej płynnych poglądach politycznych, wierząca wszystkim i we wszystko naiwniaczka bez religii, pariaska marketingu.

Mam żaloszny charakter i wiem to - pochmurnieję wsiadając do auta. W łepetynie - lasy z przepalonymi bezpiecznikami, dudniące ostępy nie zamieszkiwane przez jakąkolwiek żywą istotę. Pełno tam tylko prezesisk, buców, fanfaronisk.

Znów łapię doła, zaczynam się biczować. Pejczyki tną skórę, narządy wewnętrzne. Obieram się do kości, obdzieram z mięsa. Siedzi teraz taki smętny szkielet za kierownicą, słucha radia i próbuje się poskładać.

Nowy rzęch znów robi wstręty, rozrusznik-nie rozrusznik nie chce rozruszać trzymiesięcznych motozwłok.

Idydydydydy, idydydydy.... - i tak można w nieskończoność, dokręcać, dodydać się, popaść w depresję i z bezsilności powiesić na wyprutych z truposza kablach, bo nawet nie ma jak się zagazować, skoro nie daje się odpalić, niewdzięczne chamidło; ja tu się wykosztowuję, za mikropensyjeczkę kupuję dziada, a ten odmawia współpracy. Wyjątkowo nieużyty gnom, domowy puil, który cię nienawidzi; ty mu taszczysz whiskasy, pedigree-pale, karmy mięsne, suche, mokre, a on, choćby wykazywać obojętność, jak ty-

powy kot, gryzie cię i drapie, czai sie po kątach, by wyskoczyć, zedrzeć pazuryskami skórę z łydek i pięt, odgryźć palce u stóp, albo i całe nogi, odchapać głowę przy samym dupalu.

Puszysta kuleczka, słodkie zwierzątko kryjące w sobie bestię. Zakamuflowany drapieznik.

Wydajesz, człowieku, pieniądze i nie masz pożytku ze szklano-lastikowej budy na prąd, która postanowiła się zegzić, postroić fochy.

W radiu - trzeci tydzień - dziennikarze i zaproszeni goście, kompletnie niezwiązani z tematem, bo i co na temat zawilosci prawa kanonicznego może wiedzieć ledwie umiejący się wysławić, emerytowany bokser, gładzą o niedawnym wychrzaniu na zbitą mordziakę z grona świętych niejakiego prałata Janiszyna, jak się okazuje - pedofila, wielokrotnego gwałciciela dzieci, tajnego współpracownika SB, narkomana i fetyszysty majtkowego. Lubiło sobie przyćpać, bydłę, podczas orgietek z nastolatkami, possać ministranckie...

- No, wreszcie - zaskoczył. Jedzie.

Kłótnia w studiu, pięściarz-dewota niemal wrzeszczy, że skandal, domaga się pociągnięcia do odpowiedzialności barbarzyńców, pomnikobójców, którzy - i to w dodatku jawnie, nie pod osłoną nocy! - śmieli obalić statuę duchownego, kapelana związków zawodowych, orędownika pokoju, rycerza walczącego z Komuną. I że powinni ze łzami w oczach przyklejać siatkobetonową głowę, co z pomnika odpadła była na chodnik.

"Ofiary" w większości przypadków - oczywiście kłamią, są tak biegle w mamieniu nastoletnimi głosikami doroślejszych od siebie, bardziej ufnych, wręcz łatwowiernych, w mundurach, kitlach i togach. Jeszcze młodszy? To dopiero gagatki, co ja mówię - zwyrole; charaktery nie jak z poprawczaka, ale więziennej "enki", tak - celi dla szczególnie niebezpiecznych przestępców!

...albo rodzice ponapuszczali, pięćset plus im mało, to dawaj - lżyć kapłana, pomawiać krystalicznie czystą osobę, santo subito! O ma-mo-nę chodzi, nic więcej! Sprawiedliwość? Jak ucałują odbudowany pomnik, na kolanach przyznają, że szkalowały! Jak Ojciec Święty zrozumie, że podjął pochopną decyzję i przywróci status świętości, której de facto nie stracił Janyszyn, zasiada po prawisy Stwórcy w niebiesiech, ale nie godzi się by tu, pośród ludu wiernego, dla którego życie poświęcił, choć jedna osoba miała wątpliwości co do jego heroicznego cnót... On nam odnowił ołtarz barokowy, co prawda nie własnoręcznie i za zebrane pieniądze, ale też się liczy, pokornie i skrupulatnie, grosik do grosiczka, chomikował ofiary, a teraz słyszy się te okropności wyssane z palca, rzekomo molestowani - dziś brytany w średnim wieku plotą bzdury, bezeceństwa głoszą, monument obalili... Procesje, zbiorowe modlitwy o oczyszczenie zszarganej pamięci Jego Ekscelencji - to mało! Tu trzeba rekanonizacji. I kary, kary jak najsurowszej dla rzekomych...

Jadę przez podobnie obalone miasto. Domy wywaliły się na pysk i tak się dźwigają od ostatniej wojny, co który wstanie, zaraz inne mówię: "Leż, Stasiu, co będziesz laził, jeszcze się gdzie potłuczesz... Czy tu ci źle...?"

Film lalkowy, gdzie wszystkie role grają szmaciane budynki: od bloków, przez galerie handlowe, po garaże "blaszaki".

Jedno wielkie zwinięcie się; nie w pięść, ale w figę z kiwającym się obleśnie kciukiem. Połatanie, cera na

cerze, ubytki tynku zaklejone billboardami; dziury w głowach przechodniów zakryte płachtami reklamowymi. "Jedź świeżo", "Zawsze czysto, zawsze sucho, zawsze pewnie" - głoszą hasła, pod którymi ziele pustka, lochy, korytarze wygniłe w czaszkach pacynek.

Ludzie z gałganów nadziani na lisie i wilcze łapy, sterowani od wewnątrz przez zwierzęta.

W moich zdepreszanych oczach odbija się scenografia "Czarnoksiężnika z Oz". Czuję się jak tekturowy drwal, jakbym była przebrana w tandetny kostium; ja z lejkiem na głowie, z twarzą wypacykowaną na srebrno. Poszukująca serca, które zgubiłam w warszawskim metrze, choć nigdy nim nie jechałam. Ja bez pompy ssąco-tłoczącej, śmiecia, jakiego nie przyjmie żadne biuro rzeczy znalezionych. Bezpaństwowa i karlejąca, coraz mniejsza, leniwa i zgnuśniała. Ja - absurdalny, szkalny bandaż, butelka do połowy wypełniona roztworem z kocich oczu, magiczną miksturą chroniącą przed urokiem, złym spojrzeniem sąsiadek-zawistnic, ślepkami wydłubanymi biednym kiciusiom przez maga, okrutnego szarlatana, który był jedynie mocny w gębie, a tak naprawdę gówno umiał, jak przyszło co do czego - to ani chmury gradowej nie odegnał, klątwy zdjąć z dziecka nie potrafił, ani deszczu nie sprowadził.

Patrzę przez półprzezroczystą, zatłuszczoną gazetę, "obrus" robotników budujących kolejne krematorium w okolicy. Widzę przez lepkie od pasztetowej i masła, litery. Składam je w tytuły artykułów; świat, który odbieram jest przesycony nagłówkami z lokalnej prasy. Nowiny sprzed półtora roku, albo i starsze. Dawność, że tak powiem, ale parszywa i nieprzyjemna, kurz, mech, pajęczyny, a nie oldschool, znoszone gumki, a nie szkalne pantofelki Kopciuszka; jeśli legenda sprzed wieków - to o dwóch zmarłych z przepicia krasnalach malowniczo rozkładających się pod grzybkiem; przykry, niedomyty kicz. Artystyczne zdjęcie w sepii, sprzed I Wojny Światowej przedstawiające babsztyla w długo niezmienianych reformach.

Czuję się wiecznie przepita, dręczy mnie suchy kacyk, z żołądka ciągną kwaśne smugi, zalatuje fetor zjełczanego plastiku. Własny samochód uparł się, by człowieka nienawidzić, uprzykrzać mu życie.

Bezczelowość, bezproduktywność (jeszcze kilka "bezów", jakie cechują Pannę-nikt, człekokształtny lam-pion z bibuły na chwilę przed spalaniem; tak - uważam się albo za przeróżnista paskudztwa, albo rzeczy przeznaczone na stracenie, ilekroś myślę o sobie - jestem innym przedmiotem, najczęściej - pożerany przez głodną śmieciarkę), choć to pożałowania godne, jak najfatalniejsze uczucia i tak uważam za lepsze od ślepego idealizmu, podążania za modą, za bycie w zgodzie z tłumem, upodabnianie się do większości, albo krzewienie jakichś, choćby dumnych haseł, idei, powtarzanie myśli ojca-założyciela partii, ruchu. Za bycie harcerką, skautką, członkinią kółka różańcowego, Ligi Obrony Ogródków Działkowych, stowarzyszenia AI-anon. Za bycie członkinią.

Mnę się w kulkę, leżę w piwnicy, tuż przy piecu c.o. i czekam, aż ktoś rozpali mną, podpali kilka cuchnących kielbasą i farbą drukarską, stron. Czekam z utęsknieniem na księcia z bajki, który przyjedzie białą skodą fabią i ofiaruje mi puzderko pełne śmierci. Nie leków, czy innych trucizn, bilecisk na tamten świat, ale śmierć-naszynnik, albo parę tombakowych koleczyków.

Założyłabym je bez wahania i do końca życia nosiła z dumą, na zasadzie "patrzcie, jaki prezent dostałam - i to z miłości; tak po prostu - dał i odjechał, nie chciał niczego w zamian, anwet, żeby mi zrobiła loda; zresztą - to nie przystoi królownie, nawet zamienionej w hostessę; mnie bezinteresownie onbsypują prezentami, a wasze chłopy wsiąkają w barowe stołki, gniją nad kolejnym piwskim".

Patrzy mi się na de-miasto, nie odbieram go w czarnych, czy szarych barwach; wręcz przeciwnie: jest kolorowe, choć nieco podplowiałe.

Brodaty łysol z kucykiem, świeżo wypuszczony z więzienia kataryniarz kręci korbką. "Tarererererere" - charczą niemelodyjnie sprężyny, małopka wypchana watoliną klaszcze, dzwonią trzymane w łapkach mosiężne talerzyki.

Ograniczam się w każdym niemal aspekcie żecia, nie w głowie mi podróżowanie, zresztą - za co?

Mało czytam, nie kupuję zbędnych rzeczy. Robię wszystko, by wieść proste, prostackie życie bez zmartwień i potrzeb, kulę się przy kominku. Raz na jakiś czas podrzucę do niego starą bluzkę, czy pusty kartonik po mleku. Nawet śmieci nie segreguję. Ważne, by było ciepło i bezpiecznie, niech inni się martwią i głowią, chodzą do szkół i na wojny, spłacają pożyczki zaciągnięte w parabankach na zakup lepszego samochodu...

Właśnie - samochód. Ten skurwysyn tak mnie podjałowił, przez nowego repa, użeranie się z ASO wpadłam w jeszcze większy dół, zaczęłam bać się kupować cokolwiek poza najtańszym jedzeniem.

Po co? I tak się zepsuje, teraz samą tandetę robią, nic godnego; zapłać, jak za pełnowartościowy towar, a dostaniesz barachło, pójdź z reklamacją, to jeszcze każdy się zdziwi, że się dziwisz, że nie przyjmujesz za pewnik, że nic nie jest już dobrej jakości, nawet, jeśli kosztuje przyzwoite pieniądze, że śmiesz wymagać, w powodzi chińszczyzny, zalewie produktów bez marek księżniczka oczekuje, że jej się nie spali, nie rozklei, nie połamie, będzie działać dłużej, niż tydzień od zakupu; że jaśniepani ma fummy, chcec się buntować przeciw planned obsolescence, wydaje jej się, grafini z Pcimia Dolnego, że ma jako klientka swoje prawa; no dobrze, ma jedno, niezbywalne - prawo do wymiany jednej tandety na drugą, i niech się modli, by następna nie okazała się gorsza; jakość - też wymyśliła! Jest dwudziesty pierwszy wiek i nic nie ma prawa być solidne, dębowe i na lata, trzeba wymieniać, jak najczęściej; skąd w ogóle się urwałaś, znasz słowo konsumpcjonizm? Musisz jeść foliówki, zagryzać jednorazowymi samochodami. Traw i uśmiechaj się, choć to cię trawi...

Stacja benzynowa, oświetlona jak choinka. Była wyprzedaż w castoramie w dziale neonów i prywaciarz jakimś cudem nie wchłonięty przez koncerny, nie pożarty przez shelle i inne BP, oblepił się po uszy.

Mrug-mrug - zachęca machający rączką, błyszczący ludek w roboczym kostiumie; mechanik, młody Gary Glitter w jednym. Zamyka oczko, wywała jęzorek, zboczusio. Antyreklama.

Kupuję jedną z najtańszych flaszekownic. Podładowałaby chinola, ale to stacja, jak sama nazwa wskazuje - benzynowa, prądu nie sprzedają, butelek lejdejskich - brak.

- ...powinni ustawić z powrotem, ale z rogami - prawie zapluwa się dziadunio stojący za mną w kolejce. Odwracam się, przytakuje. Pomnik ofiar pedofilii, na wszystko, co nie trzeba - pieniążki się w budżecie znajdują, migusiem - tylko nie na to.

Gadka-szmatka ze starym antyklerykałem, co to pewnie za młodu rozpędzał pałką demonstrantów, eksmiliçantem obywatelskim, byłym partyjniakiem (wiecie co? lepszy taki betonogłowy antydewota, niż świętobliwy ćpun-gwałcieciel, który właśnie zleciał z cokołu i bardzo się potłukł).

- ...ilu to się do niego modliło...

- I nadal modli. Wierzą w niewinność zwyrodnialca...

- Wykopać i poddać kremacji. Sąd trupi? Raczej sprawiedliwość, to nic, że poniewczasie. Rozsypać w nieznanym miejscu, żeby nawet grobu nie miał.

Wychodzimy kontynuując pogaduchy. Staruszek, mimi, że fanatycznie nienawidzący kleru, okazuje się być obrońcą "prawdziwej wiary". Towarzyszająca mu żona potakuje; oni - ostatni bastion Kościoła, reszta - zaprzańcy, co to w Magdalence dogadali się z Solidaruchami, uwłaszczenie nomenklatury się jednak odbyło, trójpodział władzy po polsku: na tych co kradli, kradną i będą kraść...

Głowa, choć nie gruchnęła z piedestału na chodnik, zaczyna mnie boleć. Skończcie już, palanty, zgredy, politykierzy domowej roboty. Politolodzy wyrosli w wekach pod schodami, wyznawcy, nieodrodne dzieci prawdziwej, szczerzej głupoty, gorliwi fanatycy bujdy. Bzduroślawcy.

Żegnam się z wymuszonym bezuśmiechem, choć mam ochotę rozrechotać im się prosto w twarzę. Śmiech - jak igła adaptera wchodząca w zmarszczki. Odczytywanie zapisanych tam treści. Kasowanie ich. Drwina powodująca, iż jej ofiary tracą bzdetne poglądy. Kwas, który oczyszcza, do kości.

...zerwać spisany na zatłuszczonym papierze śniadaniowym Konkordat, jedynym prawem nowoproklamowanej Republiki Pleśnienia powinna być wolność od problemów, słodkie, rozczulające, pochwał godnie, by nie rzec wręcz CHWALEBNE czekanie na śmierć, ucieczka przed komplikacjami.

Nakaz czeźnięcia. Nieodwołalny i obowiązujący każdego od poczęcia do śmierci; najlepiej, by ta miała miejsce w bagażniku, albo na tylnym siedzeniu samochodu - - trumny.

Kategoryczny zakaz pochówku jednoosobowego, bez kierowcy. Cmentarze wypełniające się wrakami, powoli zmieniające w złomowiska. Szroty grzebalne dla aut marki Chery, Changfeng, Hafei, Changhe, Chang'an.

Sprawiedliwość, której staje się dość, gdy ze zwłok masowo wycieka olej. Silnikowy.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Florian Konrad, dodano 09.07.2019 16:31

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.